

Brückner, Aleksander

Próbki najnowszej krytyki historycznej

Przegląd Historyczny 1/1, 24-35

1905

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

PRÓBKI NAJNOWSZEJ KRYTYKI HISTORYCZNEJ.

Jak Kronos grecki z własnem potomstwem się obchodził, tak samo płodzi czas legendy i sam je pożera. Dla badacza przeszłości proces to bardzo pouczający: w jakich warunkach legenda powstaje, jak rośnie w sprzyjającym jej otoczeniu, jak nabiera w końcu dogmatycznych niemal znamion,—w jakich warunkach więdnąć poczyna, aż do ostatecznego rozkładu? Rzecz to metodycznie nadzwyczaj ciekawa. Tłumom, wierzącym tak, jak ojcowie wierzyli, nie wydzieramy przy dociekaniach podobnych niczego, do nich bowiem nasz głos wcale nie przenika. Zwracamy się tylko do badaczy i miłośników nauki; nie porywamy się na żadne „podstawy“ moralności i służymy tylko prawdzie.

Patronowie polski i czeski dostali się na ołtarze dopiero w półtora wieku po zgonie, gdy miejsce historii i prawdy oddawna tradycya i wymysł zajęły. Spółczesny episkopat i duchowieństwo, jeszcze w XI i XIV wieku, a nawet znacznie później, nic o ich zasługach nie wiedzieli. Obok dawnych patronów czeskich wystąpił nowy, może nie z przypadku Janem nazwany; u nas własnych patronów, prócz czeskiego Wojciecha, nie było, gdy się o kanonizację biskupa krakowskiego dopominano. Ustają więc analogie między Nepomukiem a Szczepanowskim, zresztą bardzo pouczające, bo dowodzące parthenogenii,—niby tworzenia z niczego, czego przyrodnicy, jak wiadomo, uznawać nie myślą.

Jak się spór o autentyczność legendy Stanisławowej rozwijał, przedstawiać nie myślimy. Ciekawych odsyłamy do gruntownego studyum Dr. *Kaz. Szkaradka Krotoskiego*, p. t. „Ś. Stanisław, biskup krakowski, w świetle historyografii nowożytnej“, umieszczonego w rocznikach Towarzystwa Naukowego w Toruniu (VIII, 1901, str. 3—103), gdzie od Czackiego i ks. Pękalskiego, aż do Gumplo-

wicza i Sobieskiego, nie zawsze zresztą sine ira et studio, rzecz wyłożono. Rezultat brzmiał pesymistycznie: „kwestya pozostaje dziś tak samo otwartą, jak dawniej“.

Odtąd przybyły nowe prace dla zapelnienia tej beczki Danaid. Nie wspominamy już o rozprawie doktorskiej (fryburskiej) ks. *Buczysa*. Głos zabrali równocześnie: prof. *Tadeusz Wojciechowski*, poświęcający część znaczną genialnej swej pracy dziejom Stanisławowym i Gallowym, oraz Dr. *Kazimierz Szkaradek Krotoski* w Przewodniku lwowskim 1903 i 1904 roku. Studium jego wyszło w osobnej odbitce, p. t. „Ś. Stanisław, biskup i jego zatarg z królem Bolesławem Śmiałym — przyczynek do walki kulturalnej w Polsce, z końcem XI wieku“. (Lwów 1905, 8° str. 179 i 2). Czyżby i po tych pracach kwestya pozostała tak samo otwartą, jak i dawniej?

Najpierw sprawdzimy smutny fakt: obie prace doszły do zupełnie odmiennych wyników, stanęły na dwu przeciwnych krańcach w ocenie samych faktów, chociaż z tych samych źródeł czerpią i niby tą samą, krytyczno-porównawczą metodą się posługują, nawiązując rzecz do tła ogólnodziejowego, do walk Bolesława z Niemcami i z Czechami. Jak te sprzeczności pogodzić, a raczej zrozumieć? Czy niema tu jakich braków w metodzie samej, lub w jej stosowaniu? Przypatrując się bliżej, spostrzega bowiem nieuprzedzony czytelnik z zadziwieniem, że i w XX wieku powtarzają się błędy, hamujące odwiecznie postęp nauki historycznej, jak gdybyśmy się byli niczego dotychczas nie nauczyli. Na kilka takich błędów, drobnych, czy znacznych, metodycznych, czy przypadkowych, chciałbym tu zwrócić uwagę.

Jeden z najzwyczajszych, — istne utrapienie historyka. Gdzieś ktoś fałszywą datę, czy szczegół napisał i powtarzają, z rozrzewniającą istic zgodą, tę omyłkę wszyscy, wielcy i mali, krytycy i fabuliści; nikomu przez myśl nie przejdzie zapytać, czy to data wiarogodna, lub choćby możliwa? Oto próbka. Kilka razy nawraca Dr. Krotoski do *Dobroniegi-Maryi*, żony Kazimierzowej, opowiada, może całkiem przesadnie, o jej wpływie i znaczeniu politycznym wyjątkowym, skoro nawet lakoniczne roczniki nasze, dla których kobiety nie istnieją, datę jej śmierci zapisały (pod r. 1087). I czyż była ona córką dla niego, jak i dla wszystkich naszych historyków i genealogów? Ni mniej, ni więcej, tylko — Włodzimierza Wielkiego! Dobrze jeszcze, że nie Ruryka. Skoro Kazimierz Odnowiciel urodził się w r. 1016, toć musiałaby Dobroniega, gdyby była córką Włodzimierzową, trzydzieści lat więcej od niego liczyć sobie, a umarłaby stuletnią babiną! Jarosław kijowski wyswatał za 21 lub za 22-letniego Kazimierza naturalnie córkę swoją, wnuczkę

Włodzimierzową, tak samo jak i inne córki za rówieśników Kazimierzowych wydawał, albo wydawać zamierzał: za Henryka III (cesarza), za króla francuskiego Henryka (nieco starszego od nich obu), za Haralda norweskiego, za Andrzeja węgierskiego. Napisał „Nestor“: „wdast Jarosław sestrę swoję za Kazimira“; ale jest to sobie lapsus calami, zamiast „*dszczer*“... Może poplątały mu się w głowie siostry obie Jarosławowe, które Bolesław Chrobry do Polski uwięził, boć mówi zaraz dalej i o 800 Rusinach, zabranych wtedy przez Bolesława. Choć wszyscy wiedzą, jakie to rychłe bywały śluby średniowieczne, wydają mimo to kilkudziesięcioletnią babinę za młodego chłopca, boć córka Włodzimierza musiałaby się przed 988 r. urodzić i być conajmniej o 28 lat starszą od Kazimierza! Po roku 988 bowiem, z cesarzówny Anny, Włodzimierz dzieci już nie miał, — przynajmniej milczy o tem „Nestor“, wyliczający wszystkie inne skrupulatnie: z Rogniedy czterech synów i dwie córki (uprowadzone przez Chrobrego), z czeski tyle, z bułgarki tyle, z polki (prawdopodobnie) Stanisława, Pogwizda i Sędzysława (?wedle imion sądząc). A więc Nestor, wyliczający dzieci byle poganek, nie byłby pominął stokroć szczytniejszego potomstwa prawosławnej cesarzówny greckiej, gdyby istniało. Przy śmierci Anny żadnego jednak nie zaznaczył, chociaż zapisał np.: „*prestawisia Rognied mati Jarosława*“. Z tekstu (przy śmierci Włodzimierzowej) zdaje się nawet wynikać odmiana gruntowna w pożyciu małżeńskim Włodzimierza: „...chochiaz przedtem brzydka chucia pałał, lecz potem ku pokucie się wdroył“ i t. d. Ale—czy kto się zgodzi, czy zaprzeczy twierdzeniu mojemu o bezpłodności Anny, to jednak Dobroniega była córką, nie siostrą Jarosława. Powiedział to przedemną — Annalista Saxo: „*duxit uxorem, regis Ruscie filiam*“ (nie—sororem). Więc błąd ten należy raz przecież usunąć. Spółcześnie może wyszła siostra Kazimierzowa za Zjęsławę (bo tak się po polsku *Izjasława* nazywał; forma *Izjasław*, u nas powszechnie używana, jest niemożliwa). Zjęsław kijowski był wujem Śmiałego, a nie byliż oni nadto i braćmi cioteczyni?!

Mniejsza jednak o szczegół genealogiczny. Bardziej uderza zupełne przesunięcie punktu wyjścia z faktu głównego na całkiem uboczny: z „wyrzucenia“ (*eiectio*) Bolesławowego na zabójstwo, czy ukaranie sądowe, słuszne, czy niesłuszne, Stanisława. W roku 1079 żyli jeszcze ludzie, co czterdzieści lat przedtem sami biskupów i duchownych w Polsce mordowali, choćby i u ołtarzy. Zabójstwo, czy egzekucya sądowa na osobie biskupiej nie mogły sprawić w Polsce ówczesnej wrażenia nadzwyczajnego. Co było niesłychane, to tylko wygnanie zwyciężkiego, hardego, szczodrego króla—tyrana

dla takiego właśnie powodu w kraju, gdzie cieniutka powłoka chrześcijańska wszędzie się rwała. Gdy w Anglii, od tyłu wieków chrześcijańskiej, zamordowanie prymasa u stóp ołtarza królowi winnemu jakby płazem uszło, w Polsce, napoły pogańskiej (przynajmniej w wielu miejscowościach), dla jednego biskupa takąby miano wznieść burzę?! Wszak jeszcze w sto lat później zabijanie duchownych (np. za krzewienie reform gregoryańskich) na Zachodzie samym nieraz się praktykowało! W roku 1079 i 1080 nie rozegrał się więc żaden konflikt niesłychany Śmiałego króla z biskupem krakowskim... I *bez* tego zabójstwa, czy sądu, „wyrzuconoby“ może Bolesława z Polski! Sprawcami zamachu na króla byli „magnaci“, żywo pamiętający rządy Mojsławowe (a czy nie Mojsław zamordował Mieszka II?) i wyrzucenie Kazimierza, a patrzący własnymi oczami na Kijowskie „sprzątanie“ wielkich książąt, uczestniczący sami nawet przy tym (np. przy Zjęsławie), wzorujący się wreszcie na świeżych przykładach węgierskich, jeżeli już nie chcieli ku dawniejszym, ku domowym się zwracać. Mieli przecież „juniora“ (Włodzisława)—okoliczność aż nadto kuszącą, gdy się niewygodnych, wymagających, srogich rządów Bolesławowych pozbyć zamysłali... „Zabójstwo“ Stanisława było chyba tylko ową kroplą, przepelniającą kielich; możnaby też powiedzieć, że skoro przy sądzie nad biskupem wykryły się istotne, czy pozorne, zdrada i spiski, nie zwlekano dla bezpieczeństwa własnego dłużej, lecz przystąpiono natychmiast do buntu.

Tymczasem historycy nasi, zahypnotyzowani przez zgon biskupa, przesuwają zazwyczaj wagę konfliktu Bolesława i wielmożów—spiskowców, podniecanych może przez Czechów i przez Henryka IV, którym obezwładnienie Bolesława bardzo było na rękę, — na konflikt króla z biskupem i podsuwają temuż wszelkie, najniemożliwsze motywy. Naturalnie,—nie Wojciechowski; tym więcej zato Krotoski, jak to z samego tytułu pracy jego wynika. Podobnie, jak jedni podawali kwestyę obrządkową (nawet dwojaką!), inni kwestyę arcybiskupstwa, inni kwestyę moralności publicznej, lub tym podobne fantazyje, jako szkopuł, o który się rozbiła harmonia biskupa z królem, tak Dr. Krotoski, nie pierwszy zresztą,—„walkę kulturalną“ pomiędzy gregoryaninem-biskupem, a królem-tyranem wymyślił... Ale raczej tylko na tytule swej pracy. W ciągu przedstawienia bowiem znika wszelka „walka kulturalna“ (o inwestyturę królewską, o celibat i t. d.), a wysuwa się na plan pierwszy szczegół, że biskup ujął się za swemi owieczkami (nb. winnemi), które król zbyt ostro karał. Ależ o to mógłby się byle jaki comes palatinus upomnieć i króla za okrucieństwa strofować! To też zamiast zapo-

wiedzianego szumnie „Kulturkampfu“, otrzymujemy tylko skromne wstawienie się biskupie za ofiarami srogiej sprawiedliwości, jakby wiek XI humanitarnymi względami w sądownictwie się kierował. Na to nie trzeba było ani Cluny, ani Leodium, ani Grzegorza VII niepokoić. Nawet gdyby Stanisław do klątwy się był uciekł i toby niewiele znaczyło. Klątwa w samych Niemczech nie przerażała zbyt, a cóż dopiero w zacofanej Polsce, gdzieby nowiną nie była, zwłaszcza, że nie z Rzymu, ani od metropolity, ale od jednego jedy-ego biskupa wyjść miała.

Metoda porównawcza bardzo się zaleca — musi jednak na materyale odpowiednim się opierać; przenosić zaś walkę gregoryańską do Polski, gdzie żadnej jeszcze dla gregoryanizmu podstawy nie było, bo Kościół zawsze tu jeszcze w stadium „plantationis novellae“ zostawał, znaczy czasy i stosunki gmatwać, a nie wyjaśniać. Więc całkiem słusznie pominął Wojciechowski milczeniem te wywody Dr. Krotoskiego, pod którymi grunt się ciągle usuwa. Wedle niego król sam, z powodu stałego antagonizmu z Henrykiem, musiał być gregoryaninem i biskup również: rzecz więc wikła się jeszcze bardziej; i kapituła krakowska cała była gregoryańska, ale chytra. Judyta rozbiła niebawem jej więź moralną, wprowadziła do niej żywioly niemoralne, dworackie, tak, że później i w tej kapitule i w całym duchowieństwie polskim przeważał kierunek przeciwny, szkalujący pamięć przekonanego gregoryanina Stanisława, piętnujący go mianem zdrajcy. Wyrazem tej zmienionej całkiem opinii stał się „Gallus“. A były prócz jego kroniki i pisma inne, łączące hlaniebnie pamięć świętobliwego biskupa. Z tych to pisemek wypłynąć miały bezczelne wyzwiska u Wincentego: *renum scortator*, zamiast *rerum scrutator*, i t. d. Tymczasem Wincenty żadnych takich pisemek nie znał, żadnego „carmen de largitate Bolesłai“ nie czytał, bo tego wszystkiego nie było, a próba dr. Krotoskiego, dążąca do odtworzenia takiego „carmen“ z heksametrami (w „Księdze Pamiątkowej dla prof. Tarnowskiego“. 1904), zupełnie się nie powiodła. Polak—raczej przyjaciela, niż dowcip poświęci; i Wincenty więc uledez musiał pokusie nagromadzenia najpyszniejszych antytez, kalamburów i dowcipów słownych: *potifex*, *pressul*, *opiscopús*, *spiculator* etc.; toć to raj dla niego! Na nieszczęście dla dr. Krotoskiego zachowała się nam kronika Wincentego w całości. Kwiatki stylowe w ustępie o Stanisławie odpowiadają jak najwierniej wszystkim innym jej ustępom; osobliwszego dla nich źródła, czy autora, zmyśli sobie ten tylko, co prawdy widzieć nie chce, co uprzedzony.

Takie uprzedzenie bije w oczy i z innych ustępów. Wojuje się np. stale argumentem, że sąd Galla o Stanisławie, to sąd dworaka, że nie podobał się duchowieństwu, że wywołał oburzenie. Wynikiem tego jakoby — usprawiedliwiania się Gallowe w znanej przedmowie do trzeciej księgi. Wszystko to należy do wierutnych bajek. Gall o wypadkach r. 1079 i 1080, zaszłych dawno przed jego przybyciem do Polski, sam nic nie wiedział; pisał na podstawie informacji, głównie Michała Kanclerza, a poświęcając księgę pierwszą i drugą biskupom i Michałowi, płaszcząc się przed nimi uniżenie i skomląc o nagrodę, nigdyby nie pisał wbrew ich przekonaniom. Sąd jego o Stanisławie nie jest jego sądem, lecz sądem biskupów i Michała. Najlepszym tego dowodem jest to, że episkopat przeciw sądowi temu nie zaprotestował nigdy i nigdzie, nie wydał, ani nie natchnął ani jednego pisemka (a na tyle mógł się być zdobyć nawet za Krzywoustego, — cóż dopiero za jego synów!), któreby rzecz odmiennie przedstawiło. Wincenty jest dla nas najpewniejszą rękojmnią, że nic podobnego w ciągu XII wieku od duchowieństwa nie wyszło. Odmienna tradycja tworzyła się powoli, cichaczem i po raz pierwszy za Wincentego na świat Boży się wychyliła. Stąd ów ferwor Wincentego, ów naiwny gniew na króla, co na domiar swej złości na niewinnego biskupa skargę (Gallową) złożyć potrafił.

Dzieło swoje pisał Gall w mniej więcej równych odstępach czasu; przynajmniej oddzielił drugą księgę od pierwszej, a trzecią od drugiej tymi samymi frazesami. Oburzenia pierwsza ani druga księga nigdzie nie wywołały, ale znana przywara polska — zawiść, odzywała się pomrukiem przeciw cudzoziemcowi, co wdzięczną materję przed innymi, jak się zbyt późno postrzeżono, pochwycił. Przeciw takiemu „odium” zwraca się żebrzący datków i nagrody autor w przedmowie do trzeciej księgi. Gdyby był swoim przedstawieniem rzeczy na oburzenie skądkolwiek zarobił, byłby niechybnie słówko o tem wycedził, byłby powiedział: wybaczenie, jeśli się pomylił, nie ze złej woli się to stało i t. p. Tymczasem ani śladu apelacji takiej, czy czegoś podobnego; objaśnia tylko obcy autor, dlaczego się tej pracy podjął, a ponieważ podła zawiść w argumentach nie przebierała, mógł się przeto spotkać i z zarzutem: — jakim czołem duchowny, zamiast o ewangelii, o walkach i o przewagach śmie prawić? Więc na ten możliwy zarzut odpowiedział: „Wiem, co duchownemu przystoi, — w rzeczach boskich Bogu służyć, gdyż pasterze o pożytek dusz dbać mają. Lecz w rzeczach świeckich należy ksiądzom cześć i służbę świecką okazywać, boć oni doczesną sławę ojczyzny szerzyć usiłują, w dzielności swojej sławy szukają, nietylko męż-

czyźni, ale nawet i kobiety i t. d.”... Z ustępu tego skorzystał dr. Krotoski, aby Galla napiętnować, jako antygregoryanina, jako przeciwnika reformy kościelnej! Czego też ślepe uprzedzenie nie dokáže?! Użył tu Gall słów pisma św. w znaczeniu, o jakim antygregoryaninom nie chodziło, bo nie o inwestyturze i o prerogatywach, lecz o sławie rycerskiej i wojennej rozprawiał. Czy Gallus był zwolennikiem, czy przeciwnikiem reformy papieskiej, to ze sprawą Stanisławową w związku nie stoi; fantazyj na ten temat nikomu się nie wzbrania, ale zbyt liczne byłoby choć słówkiem na nie odpowiadać, więc jaknajsluszniej Wojciechowski w żadne zbijania się nie wdaje; milcząc, te fantazyje pominął.

Za to w innym punkcie przyznałbym pewną słuszość dr. Krotoskiemu. Jak wiadomo, stawia Wojciechowski, już z pogardy względem Wincentego, wartość historyczną Gallowej „kroniki“ (lucus a non lucendo—bo żadnych dat w niej niema), nadzwyczaj wysoko. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że pismo, niemal w sposób okolicznościowo-panegiryczny zabarwione, wedle intencji autora do recytowania „in scholis vel in palatiis“ przeznaczone, raczej może jako dictamen dla ostrzenia dowcipu i stylu, aniżeli sumiennej pracy historycznej służyć miało. Może się to chwalić Gallowi, że drażliwą sprawę „wyrzucenia“ Śmiałego milczeniem pominął, aby fatalnego precedensu na przyszłość nie tworzyć; mimo to autora, co decydujące wydarzenia dla „dlugości“ na bok usuwa, a blachą anegdotę bez potrzeby jaknajdłużej rozwleka, nie można brać całkiem na seryo; brak mu przymiotów historyka. Bardziej retor to, popisujący się antytezami i rymami, szczęśliwy że wdzięcznej materji się dorwał, chciwy datku—niż pisarz poważny. Zarzuty więc, które Wojciechowski sam niegdyś przeciw Wincentemu sformułował, można—idąc za słuszną uwagą dr. Krotoskiego i przeciw Gallowi skierować. Mistrz Wincenty kroczył tylko w ślady Gallowe, popisując się np. jurysteryą. Za wzór mogło mu służyć owo dictum, jakie Gall Odnowicielowi wobec matki w usta kładzie: *nulla hereditas avunculorum, vel materna iustius possidebitur etc.*

Mniejsza jednak o to, jakiej tam próby historykiem był Gallus. Skoro się go jednak uznało za prawdomównego i na zdaniu jego o zajściu z biskupem się polega, nie uchodzi tworzyć równocześnie hipotez, absolutnie się z nim niewiążących. Bo jedno z dwojga: albo tu Gall kłamie, a wtedy jego „episcopus traditor“ nic nie znaczy; albo mówi prawdę i wtedy nie można traktować tak lekko jego „eiectus“, oraz jego przedstawienia „recepccy“ Bolesławowego syna, Mieszki, przez Hermana. Prof. Wojciechowski bowiem przypisuje zagranicy, Czechom i Węgrom, w obu wypadkach wpływ

decydujący, prawi o bitwach i o oblężeniach pod Krakowem, o podwójnej dezercyi małopolan (raz od Bolesława do Czechów, a potem od Czechów do Węgrów) i zadaje kłam relacji Gallowej. Relacja ta używa bowiem wyraźnie, z rozmysłu, terminu „de Polonia eiectus“, której już raz użyła, gdy o wypędzeniu Ryksy była mowa: *traditores* (jak Stanisław) *eam de regno eiecerunt*, t. j. — wyrzucono ją, jak i Bolesława, z pośród siebie—bez wmiśzania się obcych, dla czego koniecznie innego należałoby użyć terminu. W obu więc razach a „eiectio“ dokonała się intra muros, swoimi siłami i ztąd się wyjaśnia, dlaczego o tej „eiectio“ Bolesławowej milczy zagranica, jak zaklęta: Węgrzy, Ruś, Niemcy. Była to sprawka domowa, i tak ją Bolesław na Węgrzech traktował, przekonany, że niebawem na tron powróci, czemu tylko rychła śmierć przeszkodziła. O czeskich źródłach nie wiemy, bo o roku 1080 głucho w rękopisach Koźmy; rok 1086, kiedy to właśnie rządy czeskie w Krakowie Władysław węgierski wraz z Mieszką miał obalić, występuje wprawdzie w kronice, lecz głuchem milczeniem „wypadek“ ten pomija. Gall zaznacza wyraźnie, że Włodzisław Herman dobrowolnie Mieszkę z Węgier przywołał. Darmo sili się Wojciechowski wzmocnić różnemi wzmiankami hipotezę swoją, darmo korzysta nawet z przekazu mętnej kroniki węgiersko-polskiej, aby oblężenie Krakowa przez Węgrów uczynić prawdopodobnem. Przekaz ten prawi o oszukaniu strony przeciwnej co do własnych zasobów za pomocą sypiania pagórków z ziemi i pokrycia ich z wierzchu warstwą mąki i ziarna, niby na dowód niewyczerpalności prowiantów. Trafiamy i tutaj na szkopuł zasadniczy, na pytanie metodyczne: czy wolno z podobnych opowiadań w dziejopisarstwie korzystać?

O takim samym podstępie opowiada „Nestor“, pisząc o Białogrodzianach, oblężonych przez Pieczeniegów. Zachodzi tam drobna tylko odmiana: zamiast pagórków, kopią oblężeni studnie, a raczej wstawiają w ziemię kadzie z pokarmem, na dowód, że go im sama ziemia dostarcza. Takiego samego podstępu użył w starożytności Bias z Prieny. Kronika węgiersko-polska popsowała tylko wersyę, przenosząc podstęp z oblężonych na oblegających. Jest to więc motyw wędrowny, anegdota, pajęczyna, czepiająca się byle gdzie; niczego z niej dla historii nie wyciśniesz. Tak samo ma się rzecz z tradycjami o tyranie Bolesławie, zapisanymi w 120 lat później, z których i Krotoski i Wojciechowski bodajby jakiś szczegółik dla historii uratować, czy zużytkować usiłują. Nie uchodzi to pod żadnym warunkiem.

Gall podaje (a raczej przemilcza) gołe fakty, tradycya jednak nie upiększyła jeszcze za jego czasów, ani nie zmieniła cech istotnych

pierwotnego zajścia. Biskupa, o zdradę, t. j. o spiski, czy o konszachty posądzonego i tak czy owak, może i całkiem niesłusznie, przekonanego, każe król ćwiertować... Lecz przypuścić trudno, żeby rychło potem obiegająca tradycja zajścia tego nie przedstawiała inaczej. Po stronie biskupa stanęli chyba sami wielmoże-spiskowcy, zadowoleni, że rzecz sobkowstwa w płaszczyk słusznej zemsty i pobożnego czynu odziali; stanął także i Włodzisław - Herman, któremu biskup pośrednio do objęcia tronu dopomógł,—stanęła w końcu kapituła za swoim biskupem, a już w dziesięć lat po katastrofie przeprowadzono uroczystą „translacyę”, która przygotowała grunt pod przyszły posiew cudów i świętości z jednej, a zbrodni i rozpasania z drugiej strony. Wystarczał najmniejszy zarodek, aby osnuła się do koła niego nieprzeparta w wiekach średnich żądza cudowności, nawet wbrew tradycji coraz bardziej gęstniejąca. Antyteza: biskup—tyran, była gotowa. O coś konkretnego trudno się było zaczepić; przyciągała więc postać biskupia zwykle żywioly hagiograficzne. Dla tyrana nadawały się inne. Krążyły wieści, nie polskie tylko, bo ruskie i inne, o dalekich, długoletnich wyprawach wojennych rycerstwa, o tęsknicy ich żon, o podnieceniu niewolników do korzystania z chwili, do wybicia się z pod jarzma i dalsze szczegóły tej tradycji, którą jedni (w Nowogrodzie Wielkim) o Korsuń, inni (w Polsce) o Kijow opierali, bo któryż gród mógł Kijowowi dorównać?... Praga, grody węgierskie, czy niemieckie,—choćby z Kolonią i Akwizgranem były przecież wobec Kijowa nędzotą. Taką anegdotą umotywowano srogość królewską, bardzo zresztą niejasną, bo skierowaną i przeciw rycerstwu (za mniemane opuszczenie Bolesława na obczyźnie, za wystawienie go na sztych) i przeciw niewiastom za winy nie wobec króla popełnione i mało go obchodzące. Zależało na tym, aby srogość tę wystawić jak najbardziej rażąco. To też uchwyciła się tradycja zwyczaju istotnego (na co słusznie dr. Krotoski uwagę zwrócił)—kary hańbiącej, która polegała na obnoszeniu psa zdechłego. Karę tę wplotła tradycja piąte przez dziesiąte w swój wątek. I narastała lawina legendowa, a jeszcze po mistrzu Wincenty m czepiały się jej nowe szczegóły, pogrążające tyrana coraz niżej i oskarżające go w końcu o bestyalizm. Może zresztą w tym razie rzeczywisty szczegół jakiś skądś się nawinął, (np. ceremonialne wodzenie dobytku w orszaku królewskim). Symbol tłumaczono po swojemu, dosłownie. Tak postępuje tradycja każda. Kaznodzieja np. prawil o przejrzeniu duchowem (przez nawrócenie się do wiary); tradycja pojęła to dosłownie, zarówno o Mieszce I,^A jak i o Włodzimierzu Wielkim i kazała im ślepnąć, lub zapaść ciężko na oczy. Tak samo było i tutaj. Żeby jednak historykowi

wolno było z tych wątków, odwiecznych nieraz, jak ów o rycerzach i o niewolnikach (starszy on znacznie niż istnienie Polski i Rusi), wyciskać fakt jakiś, kłaść go około roku 1078 i pytać, gdzie to rycerstwo opuściło Śmiałego?—przeciw temu musimy się zastrzedz solennie.

Zasługą, czy czynem mistrza Wincentego, będącego pod wpływem zbrodni, na Tomaszu Bekecie popełnionej, było, że wszystko, co w Krakowie około pamięci biskupa i jego czci pośmiertnej krążyło, zebrał i retorycznie okraślił, a króla „samobójstwem“ uśmiercił. Zamiast tego, późniejsi przyczepiając do rzeczy wątek (podania Słowackiego i Morawskiego) o Świętopelku, mnichowstwo — odmienne jednak od Kazimierzowego—ukuli.

Stanowisko nasze jest zasadniczo odmienne. Tradycję całą odrzucamy, jako pozbawioną śladu historyczności. I to nie w tym razie tylko. Próbkę np. wyciśnięcia z bajeczki niemiecko-ruskiej o Walcerzu Udałym, czegoś dla historii Tyńca i Wiślicy, oraz ich książąt i walk autonomicznych, na tej samej podstawie odrzucamy. Uważamy to za brak krytycyzmu — w bajce (tylko dlatego że imiona własne podaje w celu zamaskowania pochodzenia obcego), dopatrywać się przeżytków historycznych. Tak samo odrzucamy i całą baśń o Krakach i o Wandzie, o Kroku i o Lubuszy. Prawnik niemiecki, prof. H. Schreuer, próbował w osobnym dziele, skreślonym z wielkim zapasem erudycyi, wycisnąć z podań Koźmowych treść prawnopaństwową. Wystąpiłem przeciwko temu, dowodząc, że Koźma wszystko to z palców sobie wyssał; odpowiedział na to Schreuer świeżo w „Mitteilungen des Instituts für österreichische Geschichtsforschung“ (1904), obstając przy autentyczności tradycyi Koźmowej, przy własnem utożsamianiu Przemyśla i Samona itd., ale nie przekonał nikogo. Z wątków anegdotycznych, obiegających świat, albo z wątków, które utworzyła dopiero fantazya kronikarza, czepiająca się choćby najzłudniejszej wskazówki (nazwy miejscowej, osobowej i t. d.), niczego dla historii nie wyciśniesz. Dzisiaj bowiem nie pytamy już, jak niegdyś, co można z podania odgadnąć dla dziejów kraju, czy instytucyi; dziś nie zadawalnia nas naiwna nieraz pragmatyczność dawnych historyków; dziś musimy pytać przede wszystkim, czy podanie, zapisane u kronikarza, jest podaniem, powstałym na gruncie, związanym rzeczywiście z danymi osobami, faktami i zwyczajami. Dopiero gdy pod tym względem wątpliwość nie zachodzi, gdy uznamy podanie nie za anegdotę wędrowną, nie dowodzącą niczego, lecz za „historyczne“, t. j. lokalne, możemy przystąpić do zbadania rzeczy, o jakich nas pouczyć może. Historyjkę np. o Popielu i o szczurach, z góry odrzucamy, bo wiemy, że

to nie podanie, lecz anegdota, obiegająca na zachodzie w X i XI wieku, a przyczepiona u nas do Kruszwicy. I podania o Śmiałym odrzucamy także, bo to nowelki tylko, z wstawionym w nie nazwiskiem bohatera. Nie przeczymy jednej tylko srogości kar, bo tę i Gall zaświadczać się zdaje; ona to ułatwiła zamach spiskowcom.

Więc z profesorem Wojciechowskim obstajemy przy jedynym wiarogodnym, niestety zbyt lakonicznym przekazie o krakowskiej „tragedyi“. Cudem niepojętym umiejscowia ją dr. Krotoski na Skalce, chociaż mistrz Wincenty wyraźnie temu przeczy i tylko o przeniesieniu tajem zwłok na Skalkę opowiada. Ale dr. Krotoski woli iść zawsze za tradycją późną, niż za wcześniejszą. Z przekazem Gallowym przekazu Wincentego ani na chwilę zestawiać nie można. Wincenty, polemizując z Gallem, z jego mianem „traditora“,—jakto już dawno wykazano,—przeciw prawdzie historycznej tradycją krakowską wśróbował. Nie bez ubolewania zaznaczył prof. Wojciechowski, że, niestety, tradycya, odpowiadająca znakomicie ascetycznej dobie, pragnącej posiadać narodowego świętego na ołtarzach, zwyciężyła historię.

Dr. Krotoski dał się tradycyi zupełnie opanować, chociaż niektóre jej szczegóły wstydliwie omawia. Nie on pierwszy, którego mistrz Wincenty zwiódł. Niedawno mieliśmy inny tego przykład. Znaną powszechnie allegoryę, wstawioną przez Wincentego w „kontekst“ kroniki po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego, opracował p. E. Świeżawski w lwowskim, a dziś krakowskim „Ludzie“ (rocznik IX, 1903), p. t. „Z przeszłości ludoznawstwa polskiego. Dyalog pogrzebowy u t. zw. Kadlubka na cześć Kazimierza Sprawiedliwego“. Jak dr. Krotoski szczegóły legendowe za historyczne uważa, tak samo uchodzą czysto retoryczne antytezy i kazuistyczne wywody Wincentego w oczach p. Świeżawskiego za reminiscencye obrzędów weselnych i pogrzebowych Słowian pogańskich. Nie przeczymy, że niektóre szczegóły dowcipnie wytłumaczono, lecz to tylko złudzenie; sam pomysł uważamy za fantazmagoryę, czy utopię. Trafne uwagi p. Świeżawskiego dotyczą tylko pieśni dzisiejszej obrzędowej, lecz z dyałogiem Wincentego związku nie mają. Wymysł to całkiem szkolarski. „Dictamen“ mistrza retoryki, — miejscami może nawet dla mylnego tekstu, — nastrocza pewne trudności, lecz „atawizmu pogańskiego“ nie zdradza w niczem, a przez opis słynnego pogrzebu normandzkiego nie zyskuje na jasności. Nie pieśni ludu polskiego, ani Jbn-Foslanowa relacya, lecz terminologia i pojęcia prawa cesarskiego, oraz kanonicznego, dają jedyny, zupełnie wystarczający klucz do zagadek Wincentowych. I tu więc, jak w tradycyi o Śmiałym, pomyłono

się w samym postawieniu kwestyi. Nie należało bowiem z góry pytać, co można z tradycyj o Śmiałym dla historyi wywnioskować, lub jakie reminiscencye pogańskie odnajdziemy w dyalogu „stypowym”, lecz należało pytać przedewszystkiem, czy tradycye Wincentowe, lub jego dyalog, nadają się wogóle do podobnych eksperymentów? I w jednym i w drugim razie odpowiadamy przecząco.

Jeżeli więc episkopat polski w XI i w XII wieku nie zaprotestował przeciw oskarżeniu Gallowemu, to i nam, nie posiadającym dotąd żadnych innych źródeł autentycznych, o którebyśmy się oprzeć mogli, nie pozostaje nic innego, jak tylko poprzestać na tem samym, jeżeli nie chcemy rzeczywistości dla fantazyj poświęcać. Nie dzieje Stanisława więc, lecz powstanie legendy należy traktować porównawczo, t. j. pytać, jak też inne legendy (o Janie z Pomuku i t. p.) powstawały. Kwestyę samą uważamy za załatwioną ostatecznie; naturalnie, nie przeszkodzi to, że pojawią się nowe próby „rehabilitacyi”; jeżeli się jednak nie oprą o nowe, nieznanne źródła, można je traktować, jak próby z perpetuum mobile, albo z obaleniem systemu Kopernikowego.

Metodyka historyczna wyszła z tych oparów zwyczajko; nie na jej karb bowiem zaliczamy niedokładności naszych badań, czy uprzedzenia naszych mniemań.

Żeby jednak nas samych nie pomówiono w końcu o takie uprzedzenie, jakie zarzucamy innym, zaznaczamy, że, przyjmując nawet oskarżenie Gallowe, nie przesądzamy wcale rzeczy samej, bo jej nie znamy dostatecznie. Sądy XX stulecia myślą się fatalnie, cóż dopiero taki sąd sumaryczny XI wieku! Wierzymy Gallowi na słowo, że Śmiały oskarżył biskupa o „zdradę“ i oskarżenie wobec swego sądu nadwornego przeprowadził, a wyrok wykonać kazał. Lecz, czy sąd ten był legalny, postępowanie prawa normalne, biskup przekonany i t. d.,—o tem wszystkiem nietylko nie wiemy nic, ale owszem,—z niewątpliwego zgorszenia, jakie ta procedura, wedle świadectwa samego Galla, wywołała, możemy śmiało wnioskować, że tak nie było, że strasznie porywczy, niepohamowany Bolesław wobec biskupa sam zawinił także, że, wedle przekonania wielu ówczesnych, stała się i biskupowi krzywda, że wreszcie jego stracenie, nie jako słuszną karę, lecz jako męczeństwo pojęto. I nie pozostaje nam, wobec głuchego milczenia dziejów, nic innego, jak tylko powtórzyć słowa Gallowe: nie bronimy biskupa; tem mniej jednak króla, tak haniebnie i zawzięcie się mszczącego...

A. BRÜCKNER.
